



Janusz
GŁOWACKI

**OSTATNI
CIEĆ**

Świat Książki

**OSTATNI
CIEĆ**

Janusz
GŁOWACKI

**OSTATNI
CIEĆ**

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja techniczna
Julita Czachorowska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © by Janusz Głowacki, 2001, 2008
Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o.o., 2002, 2008
Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki
Warszawa 2008
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2284-6
Nr 45051

*Zbyszkowi Rybczyńskiemu,
z którym pracowaliśmy
nad filmową wersją tej opowieści*

Pod koniec lipca o siódmej wieczorem już od trzech godzin siedziałem w restauracji „Fiorellos” naprzeciwko Lincoln Center i zastanawiałem się, jakby poprawić swój los. Siedziałem przy jednym z dwunastu ustawionych na ulicy stolików, osłanianych przez dwanaście parasoli w błękitno-białe pasy, zaprojektowane przez sławnego francuskiego designera Jean Marie Cottarde’a.

Gdzieś niedaleko tłukł się huragan Alan i powietrze było gęste od upału. Po pierwszym podwójnym scotch pomyślałem, że warto by się przenieść do środka, gdzie musiało być chłodno i przyjemnie, ale po trzecim machnąłem na to ręką. Gdzieś tak koło ósmej szklane ściany w Metropolitan Opera ściemniały i przestały przez nie przeświecać latające człeko-ryby na malowidłach Chagalla.

Tymczasem tłum na Broadwayu zgęstniał. Przez połyskujące perłami i brylantami pary biegnące na koncert w Metropolitan przepychali się, rozebrani do pasa, czarni chłopcy na wrotkach. Japońscy turyści, przyciskając do piersi kamery, opędzali się przed

prostytutkami i transwestytami, którzy jak zawsze punktualnie o siódmej wysypali się z irlandzkiego baru na 61 Ulicy. Parę metrów ode mnie szpakowały mężczyzna w garniturze od Armaniego, butach od Brooks Brothers i koszuli Perry Ellisa okładał pięściami budkę telefoniczną i krzyczał coś do aparatu, ale zagłuszało go poganiające się klaksonami kłębowisko samochodów.

Zamówiłem kolejnego scotcha i żeby szybciej zakończyć wieczór, popiłem go heinekenem. Szpakowały mężczyzna po raz ostatni kopnął budkę telefoniczną, rzucił na stolik koło mnie wygnieciony lipcowy numer „People Magazine” i zniknął w tłumie. Z okładki magazynu popatrzyła na mnie niechętnie twarz Johna Jeffersona Caine’a. Cały magazyn, podobnie jak wszystkie inne w tym tygodniu, wypełniały artykuły, plotki i wspomnienia o J.J.C., jego zdumiewającym życiu i zaskakującej śmierci.

Od kilku lat ten największy designer wszech czasów, zwany Leonardem da Vinci naszego wieku, odsunął się nieco od świata. Na pustyni w Teksasie zbudował gigantyczny zamek, poskładany z większych i mniejszych kawałków sławnych budowli i zabytków architektury. J.J.C. zamieszkał w nim samotnie ze swoją matką, żoną Sonią, paroma tysiącami służby i oddziałem ochroniarzy.

I oto w zeszły czwartek świat wstrzymał oddech. Zamiast rewanżowego meczu NBA, NY Knicks – LA Lakers i programu „60 minutes” o rosyjskiej mafii, wszystkie kanały telewizji nadały transmisję z nagłej

i niespodziewanej śmierci geniusza. Wielki designer leżał w zaprojektowanym przez siebie w czerwcu 2005 roku, sławnym, sześciometrowym łożu z baldachimem, ubrany na tę okazję w legendarną pizamę w kolorze bizantyjskiego złota. Nad jego twarzą przygotowaną przez błyskawicznie sprowadzonego z Rzymu mistrza make-upu Salvadore Belliniego, pochylały się setki kamer filmowych i las mikrofonów. Dwa miliardy ludzi na pięciu kontynentach w napięciu czekały na ostatnie słowo geniusza. W straszliwej ciszy słycać było tylko szlochanie Stevena Harrisa, wieloletniego szefa jego bodyguardów, który patrzył bezradnie, jak J.J.C. drżącą ręką sześciokrotnie próbuje podnieść do ust widelec z kawałkiem swojej ulubionej potrawy – węgierskiego gulaszu. Za szóstym razem ręka wielkiego starca opadła i okrągła kulka czerwonego mięsa potoczyła się po śnieżnobiałym dywanie, będącym wymyśloną osobie przez Caine'a kombinacją kitajskiego jedwabiu, afgańskiej wełny i marokańskiego kaszmiru. Po czym słabnące usta wyszeptały coś, co niektórzy zrozumieli jako „fuck”, a inni jako „God bless America”, i największy geniusz naszych czasów na zawsze zamknął oczy.

Po kilkudniowych uroczystościach pogrzebowych, spaleniu ciała wielkiego człowieka i rozsypaniu prochów zgodnie z wolą zmarłego nad teksaską pustynią, nastąpiła seria tajemniczych katastrof. Jeden po drugim eksplodowały odrzutowce linii Caine'a, którymi uczestnicy żałobnych uroczystości opuszczali

zamek. Sprawców nie schwytano. Początkowo posądzano o to islamskich fundamentalistów, ale żadne ugrupowanie nie przyznało się do zamachu. A pułkownik Kadafi oburzony posądzeniami przypomniał, że wszystkie jego wieczorowe kreacje, podobnie jak mundur Saddama Husajna i błękitny garnitur Miloševicia, były zaprojektowane przez J.J.C.

W katastrofach zginęło parę tysięcy osób. Były wśród nich dwie supermodelki, których śmierć tuż przed jesiennymi pokazami oplakiwały miliony prostych ludzi na całym świecie.

Tymczasem zapaliły się latarnie na Broadwayu, potem światła w Lincoln Center i skrzydlate postaci Chagalla znów zawirowały w powietrzu.

Zamyśliłem się nad przemijaniem chwały świata, ale tylko przez chwilę. Bo mężczyzna, który usiadł przy stoliku obok, zaczął dość nachalnie wbijać we mnie podpuchnięte niebieskie oczka.

Wyglądał na jakieś trzydzieści lat. Miał nogi krótkie, tułów długi, czoło wąskie, kark czerwony, nos perkaty, szare włosy zaczesane do góry z falą, policzki też czerwone, trochę obwisłe. Na pierwszy rzut oka wyglądał swojsko, ale coś się tu nie zgadzało. Bo wielkie czerwone łąpy wystawały z rękawów eleganckiej marynarki, a na krótkim owłosionym paluchu miał pierścionek z diamentem, który pobłyskiwał jak prawdziwy. W chwilę potem zakręcił się koło mnie czarnowłosy kelner z kolczykiem w uchu, jednym ruchem rozstawił mały stoliczek, umieścił na nim owinięty lnianą serwetą kubeczek z lodem i li-

trową flaszkę chopina. W ślad za nimi nad stolikiem pochylił się mój sąsiad.

– Sądząc po twarzy, pan rodak? – zagadnął.

Kiwnąłem głową, a on sapnął z ulgą i opuścił się na krzesło.

– Na imię mam Kuba – powiedział. I o wiele za mocno uściśnął mi rękę. Chwilę siedzieliśmy w milczeniu, potem dźgnął paluchem okładkę magazynu. – Wpadło może panu coś w ucho o loterii Caine'a?

Pytanie nie miało sensu. Wszystkie kanały telewizji od paru miesięcy bez przerwy zajmowały się tą loterią. Wiedział o niej cały świat.

Dla porządku przypomnę najmłodszym czytelnikom, że jednym z największych osiągnięć J.J.C., które ugruntowało jego sławę i fortunę, było wykreowanie i ofiarowanie mężczyznom na całym świecie niezależnie od religii, koloru skóry i przekonań politycznych obcistych majątek z królewskiej bawełny. Majtek, które – jak zgodnie podkreślali wszyscy krytycy mody – raz na zawsze wydobyły męskie pośladki z anonimowości. Do każdej pary dołączona była pięcioletnia gwarancja i bilet na loterię. Zwycięzca miał otrzymać tuzin legendarnych majątek z dedykacją, a także roczną posadę dozorczy w zamku z pensją dwieście tysięcy dolarów miesięcznie.

Trudno się dziwić, że posada ta stała się przedmiotem marzeń nie tylko setek tysięcy najbardziej obiecujących młodych Amerykanów, ale także milionów nielegalnych imigrantów, od kilku pokoleń cze-

kających na zieloną kartę, zezwalającą na stały pobyt w Stanach Zjednoczonych. A nagrodzony Pulitzerem za cykl esejów o modzie na Bliskim Wschodzie John Freeman napisał w „New York Timesie”, że loteria Caine’a to symbol demokracji i urzeczywistnienie *American Dream*.

Losowanie odbyło się w Waszyngtonie jako najważniejszy punkt obchodów Święta Niepodległości. W dzień później niespodziewanie umarł Caine i zapewne dlatego osoba zwycięzcy nie uzyskała należytego rozgłosu. Szczerze mówiąc, nie byłem nawet pewien, kto wygrał.

– To byłem ja – mężczyzna, który przedstawił się jako Kuba, wychylił szklanekę chopina i wprawnie nalał sobie nową.

Oszust albo wariat, pomyślałem, popijając piwem swoją działkę. Uśmiechnął się gorzko, jakby czytał w moich myślach, i pokiwał głową.

– Widzę, że mi pan nie wierzy. Czy w takiej sytuacji pozwoli pan, że mu opowiem historię swojego życia?

Co było robić? Kiwnąłem głową i nalałem sobie nową szklanekę.

Opowieść Kuby

Z góry zastrzegam, że nie posiadam odpowiedniego wykształcenia i nie podejmuję się tak pięknie wylać moich myśli, jak to robią nasi wielcy poeci,

pisarze, reżyserzy filmowi czy autorzy książek naukowych. Zaznaczam tylko, że przechodziłem koleje losu. Żeby nie być gołosłownym, powiem, że w wiosce Zarzecze pod Włoszczową, gdzie ujrzałem światło dzienne, było nas sześcioro rodzeństwa. Mój ojciec był postawnym kowalem i nie odmawiał sobie zachcianek.

Żyliśmy w takiej biedzie, że jak skończyłem pięć lat, wszystko, co dostałem na urodziny, to był patyk do pasania krowy. Zaraz potem matka zapowiedziała, że na listopad spodziewa się choroby. Ostrzegła ojca, żeby przestał się bawić na wesoło, tylko pomyślał poważnie, bo będzie jedyną głową rodziny. Ale było już za późno, bo ojciec się dawno zepsuł i rozpróżniaczył.

W listopadzie zgodnie z obietnicą matka się położyła do łóżka. Jej choroba rozwijała się, aż doszła. A zaraz po pogrzebie ojciec całą naszą szóstkę porozdawał.

Nie wiem, jak reszta, ale ja trafiłem do dalekiej ciotki w Kielcach. Jej mąż był komunistą, ale tylko parę tygodni, bo zginął pod końską platformą. Sama ciotka pracowała w branży prostytutki. Dzięki temu miałem sposobność zapoznać się z ciekawymi ludźmi różnej marki. Przez samą ciotkę byłem lubiany pod każdym względem i otrzymałem od niej wychowanie moralne i umiłowanie przyrody. Ponadto, stały klient, Włosiak Antoni, z zamiłowania nauczyciel, poinformował mnie nieodpłatnie, jakie książki trzeba czytać, żeby nie błądzić na oślep po ścieżkach